

dzie musiał mieć na folwarku stałego zastępcę. — Tak troszczyła się o przyszłość i przewidywała w najdrobniejszych szczegółach życie jedynaka. Pawelek tymczasem nie interesował się niczym, stał w oknie tyłem do rozmawiających, z rękami założonymi na plechach i wypietym bruchem. Dzięki tej zapobiegliwości właścicielki Leon przestał drzeć ze za chwilę wtargną do jego pokoju, gdzie na stole rozłożone były książki, jakie nieodpowiednie w oczach dzierzawcy i jego córki dla płatnego praktykanta. Za chwilę przyjechał „dziedzic”, ojciec panny, i wtedy wybuchła awantura o brusy.

Zaczęło się więc od brusów, że jednego zabrakło, całówki. Leon na nowo oblała się potem i czerwieniejąc, ale nie ze skruchy. Przypomnia sobie swoje pokorne, zastraszone, służalcze i jednym słowem takie, jakiego na pewno spodziewali się po nim oni, cała czwórka: „Nie policzylem, panie dziedzicu, miałem właśnie teraz, panie dziedzicu, nie wiem kto, panie dziedzicu, panie dziedzicu i panie dziedzicu”. I ryk tego prawie obrzydła, ojca panny: — A ja policzylem, panie plenipotencjusz (plenipotencje!) A ja wiem, panie plenipotencje! — I że właśnie wtedy musiał nawinąć się Wasyl! I już wtedy rozkrzyczał się na dobre na Wasylę, nie zważał na obecność właścicielki.

— Paul, mon enfant — zagruchała wielmożna pani i wysłała go do domu po parasol, chociaż deszcz nie padał a w domu na pewno było słyhać. Pawelek machnął ręką ze zdumieniem i poszedł chlapiąc naumyślnie i wchodząc w kaluze.

Mysząc o tym, czego się nie powiedziało, a co powinno się było powiedzieć, można znaleźć chwilowe ukojenie. Tylko wyłączyć na chwilę rzeczywistość, a ta sama scena zmienia się nieprawdopodobnie: — Nie jestem policjantem! Nie ja przyjmowałem Wasylę na folwark! — i różne „wypraszać sobie” powtarzane dobitnie i z godnością. Leon jest znową energicznym młodzieńcem, rękującym jak najlepsze nadzieje. W bibliotece ojca, na te szafy z książkami postać jego wzbudza zaufanie i szacunek. Rozmawia spokojnie i w miarę uprzejmie z tym panem, o którym nie myśli wcale „dziedzic” tylko „ten dzierzawca” i po nazwisku. — Nie, proszę pana, niestety praktyka u pana mi nie odpowiada. — Potem na osłodynie pigułki trochę banalnych uprzejmości, a nareszcie zasadnicze: Mam swoją koncepcję organizacyjną. Zamyślam zmienić stosunek i sposób odnoszenia się administracji do służby folwarczej... przez to podnieść wydajność pracy. I nie myślę żebyśmy mogli pracować wspólnie...

Ostatni z szeregu, wysoki chłopak z rudą czupryną, dostał już swoje 70 groszy i pobiegł za innymi. „Iwani!” — wrzasnął za nim Leon i ogłupiałemu, udającemu niewiniątko odebrał postronkę. I znowu wyrzucił sobie: za późno ten krzyk i wyzwiska, chociaż wiedział, że chłopak nie za nie będzie miał do niego urazę, a za to że mu udaremnił kradzież folwarczego postronka. O rudym chłopaku mówili że był kochankiem Justyny; tak więc skrzywdził dziś oboje. Reakcje Leona były zawsze niespodziankami dla ludzi — sam zdawał sobie doskonale sprawę, że brak logiki w jego postępowaniu wzrasta stale odkał znalazł się tu, na folwarku. Bo czyż nie jest bezsensowne odsyłać talerz zupy, dlatego że znalazło się w niej muchę, a zjeść drugi, w którym plawił się brudny palec Justyny?

Roszczyk postawił w błocie latarnię i przypinał zniecierpliwiona Ażę do długiego druta. W stajni chrupały konie, przestępowały z nogi na nogę. Było zupełnie cicho, tylko z odległej o parę kilometrów wsi słyhać było ćwiczący się chór Prosiwity.

Przed gankiem, na czarnej drodze znać jeszcze świeże ślady powozu, którym odjechała „wielmożna pani” z Pawelkiem. Księżyc przetoczył się nad kopę starych świerków, pożółkł i znacznie zmalał. Pelnia — idealny krzączek leżał nieruchomo i płasko nad czarną grupą drzew, zasłaniających drogę do wsi i do stacji. Na lewo, już po tej samej stronie nieba co księżyc, wywuszał się za horyzontem biały obłok światła z cukrowni. Misko płatał się pod nogami Leona, łapał go przednimi łapkami za chołewy, w pysku niósł koniec uratowanego postronka. Powietrze było świeże, ani jednej chmurki na niebie i po całodziennym deszczu zostało tylko zimne, jesiennie błoto i białe kropki wody na grubych liściach bzu. Teraz w nocy, kiedy nie trzeba było rozmawiać z „ludźmi”, żądać, wymagać i organizować, życie powinno mu się było wydawać łatwiejsze. Kontakt z naturą nie sprządał żadnych powikłań, nie groził, nie wymagał ciągłej czujności w obawie przed odpowiedzialnością. Białe świecący kolumny świeżo otynkowanego ganku, kalosze z chlupotem zagłębiały się w błocie, rozgąnaty wyraźne konie powozu. Misko brnął mężnie w ślad za nogą Leona, nie był już tym zbiedzonym psakiem o zjeżonej sierści, śpiącym całe rozkiele południe na zeschłych łodygach fasoli. Je-

żeli nie figlował zbyt, to tylko dlatego że zbyt wiele energii i wysiłku kosztowało go nadążanie za wielkimi butami człowieka; krótkie łapy szczeniaka oblepiło błoto i za każdym krokiem zapadał się po brzuch.

Ale ta ulga była tylko ulgą wyrównoważoną, ta której oczekiwało się, a która nie nadchodziła. Przeciwnie, wszystko zdawało się Leonowi cięższe, obciążać go przed nim samym. Być bezsilnym nie jest jeszcze tak źle, jak wiedzieć, że się nim jest, zwłaszcza jeżeli zna się powód swojej niemocy i jeżeli można samemu nie bez podstawy oskarżać się o współdziałanie z dziejącym się złem. Największą trudność stanowiło życie się z tą świadomością że jest nędzną, śmieszoną figurą, nie pasującą do całego otoczenia, że wydaje się na pewno śmieszniejszy niż jest naprawdę i że jego wszystkie nawet nie słachetne, ale po prostu uczciwe odruchy, które w innym środowisku byłyby przyjęte jako coś rozumiejącego się samo przez się, są tutaj na folwarku pustą, pozabawioną życiowego sensu donkiszoteria.

W zacisznym, jasnym pokoju w mieście można było zawsze znaleźć ulgę i zrozumienie. Grzbiety ładnie oprawnych książek, skrzynka nowego radia, które ojciec niedawno wymienił, atmosfera życzliwości.

„Quel crime avons-nous fait pour mériter de vivre?” zacytował Lamartine’a i aż usiadł na mokrym i obłożonym stopniu ganku, tak wydal się sobie śmieszny i aż wstrętny. Brak jakiegokolwiek odczucia sytuacji, niemożność przystosowania się do nowych warunków życiowych, rozmazajania wrażliwość i, co tu dużo mówić, nieproduktynność jego tu na folwarku stały mu się dziś aż nadto jasne. Ten Lamartine tutaj, na obłożonych schodach, i egzemplarz *Enita* w kufierku, a na nogach miejskie, płytkie kalosze! Księżyc przesunął się za świerki, był teraz wysoko w środku nieba, naprzeciwko światła z cukrowni. Spiewy chóru wiejskiego dawno ucichły, gościem jechała powoli furmanka chłopca, który się wcześniej wybrał na odpust do odległej wsi. Leon wziął na ręce Miskę, który mu tymczasem zasnął na kolanach; przechodząc koło obory usłyszał sze-

lest słomy; widocznie rozbudził Wasylę, który miał dziś dyżur. „Spijcie, spijcie”, powiedział do chłopca siedzącego na słomie i przeciągającego się, „ale dlaczego nie przykręcać latarni? Potem pan dziedzic gniewa się, że tyle nocy wychodzi”. Zjrzał jeszcze do tej krowy co „laksowała” po buraczance i wychodząc przykręcił światło.

Przed śpiachlerzem zawałał się na chwilę — nie, nie mógł wejść tam teraz. Już jutro odnieśm ten odebrany postronkę. Właśnie w śpiachlerzu odbyła się dziś główna scena, mniej głośna, ale o ileż dla Leona ważniejsza. Nie myślał o niej dotąd, bronił się jeszcze; raz dostawczy się do świadomości robiła swoje: działała destrukcyjnie na cały aparat myślenia, rozpręgała nawet koordynację ruchów. Potknął się o węgiel kocznic; Misko pisał przez sen i wtulił mu głowę głębiej pod poję kurtki. — Czy to możliwe, czy to możliwe? — piszczała i kręciła się w zdenerwowaniu „wielmożna pani”, — czy to możliwe?! — Stała w snopie światła wchodzącego przez male zakratowane okienko; z profilu, na wyrzudziłm żakiecie znać było każdy włoszek, niewidoczne normalnie zewnętrzne części nitki tworzyły białe obramienie, kreskę kontrującą jej szczerpłą postać. — Tak, — powiedział patrząc jej w oczy dziedzic, — cale 3200, — mogę pokazać kwity — mówił dalej i rękami wyciągniętymi na koniec szpicrutu uderzał się lekko po cholewce, coraz przedziej, coraz przedziej. Ona pierwsza spuściła oczy i labidząc jeszcze powiedziała że nie, że między nimi to niepotrzebne, że przecież on wcale nie jest obowiązany zajmować się tą budową, że to jest tylko dowód uprzejmości z jego strony, bo ona sama nie dałaby sobie rady. Wtedy na chwilę odwrócił się z apatii Pawelek. Z głową zadartą do góry, z rękami w kieszeniach, powiedział patrząc mu prosto w twarz: „Ach, oczywiście że nie może nam pan pokazywać kwitów”. Ta wzywająca dwuznaczność pokryta była tonem dzieciniego zdumienia. I zaraz musiał ratować prawie rozbite porozumienie, przerwać niespodzianą i żenującą milczenie, w którym zbliżali się do

drzwi: „Panie Leonie, niech pan pomoże mojej matce, te schody są niemożliwe”. Leon skwapliwie podał rękę właścicielce i nie wiadomo dlaczego był wdzięczny dzieckowi za to, że zapamiętał jego imię.

„Misko rzucił brutalnie na łóżko zakomplał, ale zaraz zwinął się w kłębek, zostawiając na poduszce smugi na pół zaschniętego błota. Stawiając na środku pokoju, pod hakiem od nie istniejącej lampy, krzesło, Leon zaklął i podłożył mu pod za krótką nogę zdjętą z biurka „Księgie Budowy”. Jeszcze była jedna trudność ze zrobieniem petli. Postronkę był nowy (inaczej Iwan nie zakomipliby się na niego) i przez to sztywne; nie poddawał się, zeszlizgiwał. Stojąc na stółku na środku pokoju Leon pracował nad petlą, rękę mu drżały, śpieszył się. Wiedział już teraz, dlaczego nie odniósł od razu postronka, że nie dlatego, że nie był niby to zdolny wejść do śpiachru, gdzie odbyła się pamiętna rozmowa o wydatkach na naprawę stajni. „Tak, panie, panie, nie będzie pan pokazywał żadnych kwitów ani Pawelkowi, ani nikomu”, ale on, Leon, nie będzie mu prowadził książek. A jeżeli raz zmienił według jego wskazówek pewną pozycję, no, to to było raz, tylko jeden raz i ostatni. Zeskozył z krzesła i wyciągnął spod jego nogi „Księgie Budowy”, sztywny sznur zwiślał idiotycznie ze środka sufitu. Poprawiając po raz drugi dzisiaj liczbę 3200 na 2500, zrobił wielkiego kleksa i musiał wydrzeć całą kartkę i przepisać wszystko co było przedtem. Szybko, szybko chodziło pióro po niebieskich liniach książki rachunkowej. Ten sznur nie mógł długo wisieć na środku pokoju bez należytego uzasadnienia.

Ułożył starannie książkę na poprzednim miejscu na podłodze i już miał stanąć na krzesle, kiedy na folwarku rozległ się hałas, krzyk, wysoki i przekliwki głos panny. Roszczyk biegł w stronę domu, światło latarni chybało się, mdle i niepotrzebnie; było już widno, prawie jasno.

Panna przyjechała na inspekcję; „diabeł nie panna”, mrucał Roszczyk, zdumiony z czujnej, stróżowskiej drzemki. — Przyjechała, weszła do stajni, a tu Wasyl poddaje krowy. Niedość że deszę walczył, jeszcze krowy doi. Panna krzyczy, że stało to robił, bo rano zawsze bardzo mało mleka — dlatego przyjechała na inspekcję. Ale że wczoraj ukradł deskę, to mógł dziś nie dojść — zrzędził Roszczyk.

A przed stajnią krzyczy panna. W butach do konnej jazdy, uchłapanych, z krótką, widocznie złamaną trzcinką w ręce. — Gdzie pan był?! — i — co pan robił?! — i — z panem mogą człowieka obrać do ostatniej kuszuli! — A potem znowu na Wasylę „ty złodzieju!” i jeszcze inaczej, wszystkie słowa znane Leonowi z wojska i jeszcze parę innych, regionalizmów widocznie. Wasyl sto nieruchomo, nie zanadto pokornie. Już go i tak nie uratuje — dobrze jeżeli zaraz nie poślą po policję. Justyna stoi obok ojca, z banką na mleko. Tak, co dzień w nocy nosiła do wsi mleko w tej niebieskiej bańce. Teraz nie pozwalają jej ani odejść, ani postawić bańki — stoi pochlipując. Z czerwików zeszi się już ludzie, przynieśli pocztę całówkę — patrz! i czekają co będzie dalej. A panna wykrzyczała się, ochrypla, ale zaraz znowu zaczęła na Roszczyka, co za stróż z niego. Więc Roszczyk wściekł się, bo przecież to nie on złodziej, i huknął Justynie pięścią w plecy.

Tego już było Leonowi za dużo, tego stanowczo za dużo, jak upadła na deski i na bruk. Bo do błota wylało się mleko, a spod spódnicy wzdłuż łydek, góra białych a dołem czerwonych i ubłoconych, pobiegła szeroka smuga krwi.

WIELKI WYBÓR
J.M.Łodkowski
PL 3 Krzyży 18. Marszałkowska 92.

Jak dobrze było Leonowi na wozie wyszczeszanym słomą, toczącym się po wybojach gościńca robizjanego rok rocznie przez wozy buraków cukrowych! Wprawdzie siedział na osi, tyłem do powożącego farnala, a w lokcie uwirował go jego własny kuferek, ale był wczesny ranek, różowo wchodziło słońce, a księżyc był ledwo dostrzeżalnym centkiem z białej przeczyszczonej bibulki. Zbudowania folwarku cofały się w tył i malały; zginęła też i utonąła w latach ziemniaczanych śmieszna figurka odprowadzającego tego ich Miska.

— Justyna, no, Justyna, niech Justynka nie płacze; w szpitalu będzie na pewno dobrze — pocieszał dziewczynę leżącą bezwładnie na dnie wozu; zauważył, że mówi już do niej w trzeciej osobie, jak w domu do służącej matki, i to spostrzeżenie sprawiło mu radość.

HELENA WIELOWIEYSKA

SEWERYN POLLAK

PARSIFAL

Kiedy Parsifal przybył pod zamek świętego Graala, była ciemna noc i rycerz leżał pod drzewem w stóp góry, drząc z niecierpliwości. Gwiazda, która świeciła między gałęziami, migotała ze znużenia, liście, poruszane wiatrem, przesłaniały jej wzrok. Parsifal nie myślał już o czarze ze świętą krwią — był zbyt jej blisko, poprzez gęstwinę lasu, który miał jutro przebyć, aby się dostać na górę, czuł na twarzy jej ciepły oddech.

Bliisko upragnionego celu uprawiała go w stan dziwnego bezwładu — jedynie poczucie siły, która niespokojnym strumieniem przelewała się pod pancernem, przypomniało mu jego rycerskie powołanie. Nie było to jednak bynajmniej nawiedzenie świętości — tajemnicze szmery lasu nie sprzyjały ekstazie.

I tylko biały kwiatek, świecący w ciemności nocy, wydawać się mógł lekkiem dotknięciem ziemi przez gwiezdny promień,

S Z T U K A

Charty styły nad małą Trudą i porozumiewawczo kiwały głowami. Truda siedziała na podłodze. Budowała dom z klocków. Cień harfy, którą trzymała Eufrozyna, padał na słupki, ustawione przed domem. Miały one wyobrazać ганецzek, ale Eufrozyna dobrze wiedziała, że to kolumnada świątynna.

— Tutaj będzie mieszkał Burek — powiedziała dziewczynka do lalki Magdalenki. Aglae skrzywiła się z niesmakiem.

— Tracimy tylko czas — wyszeptala kwasiño. — Nie wiem co za dziki pomysł strzelił tam do głowy.

— Poczekaj! — syknęła Talia. — Zaraz zobaczysz...

Charty styły cierpliwie. Mała Truda nakryła dom starym kapeluszem ojca i zakłaskała w dlonie:

— Zbudowałam dom dla Burka. Zburkowałam bom dla Durka! — zaśpiewała wesolo.

— Tu! obrzydliwość! Plugawci świętą sztukę — krzyknęła Aglae i ze złością pociągnęła Trudkę za kusy warkoczyk.

miłosnym pocałunkiem bóstwa, złożonym na głowie wdrowca.

Parsifal spał. Zwinny koziorożec stanął na obalonym pnju i ostrym rogim zamierzyl się w pierś rycerza. Okragle oczy soicy patrzyły nadto wiedząco. Las, zanurzony w mroku, tonął w głębi góry. Rzeczywistość była ponad miarę sceniczna, nawet jak na ubogie serce Parsifala.

Gwiazda zgąsła pomiędzy liśćmi. Kwiatek, przynięciony ramieniem śpiącego, wydal krótkie westchnienie i skonał.

O świcie zaśpiewały ptaki. Gdzieś wysoko, w górze, dźwięniły promienie światła, odbijając się od kryształu świętej czary. Święty Graal wzruszył się powoli na niebo purpurową tarczą — tuż nad głową Parsifala. Kiedy rycerz się zbudził, czara wisiała już wysoko ponad szczytem góry, zbyt wysoko, aby mógł jej kiedykolwiek dosięgnąć.

Dziewczynka rozplakała się. Płakała długo i żalśnie. Unosiła w górę ramionka, ptasio przekrzywiwała głowę — niepocieszona. Wreszcie usnęła śród pochłypuwań. Trwało to długo. Charty przestępowały z nogi na nogę. Aglae kłęła pod nosem.

Naraz dom Trudy zaczął rosnąć. Piętrzył się wżwyzł ściany, wysmuklały ustawione rzędem kolumny. Poly kapelusza przykręty je szerokim architravem, spłaszczone denko rozszerzyło się w dach.

Z wnętrza świątyni słyhać było rytmiczny śpiew przy dźwiękach harfy:

Zbudowała dom dla bóstwa,
Bóstwu dom wybudowała —

— Toć to pieśni diomizyska! — zawołała z zachwytem Aglae.

— Tsss, nie krzyć! Obudzisz dziecko! — uciszyła ją siostry.

Małej Trudce śniło się, że w nowym, pięknym domu pies Burek święci wesele z lalką Magdalenką.

SEWERYN POLLAK

J. KULCZYCKA-SALONI

REYMONT I „CHŁOPI”

Mimo poważnych sukcesów za granicą Reymont nie cieszył się nigdy wielkim zainteresowaniem i uznaniem w Polsce. Ubóżna literatura reymontowska świadczy, że nie był on w Polsce wartości doświadczenia, żeby ktokolwiek porywał się na jej odbieranie, czy chciał przyczynić się do zabrawiania. Dopiero rok ostatni przynosi charakterystyczne zmiany: zapowiedziano nowe zbiorowe wydanie pism Reymonta, monografię poświęconą *Chłopom*¹, wreszcie ukazała się monografia poświęcona twórcy². Czy jest to zapowiedź renesansu twórcy czy tylko zbieg okoliczności, trudno teraz decydować. Ponieważ chwila obecna wydaje się odpowiednia do rewizji krzącej i obowiązujących poglądów, chciałabym do rzucić tu kilka uwag o *Chłopach*.

Zaczynając od rzeczy mniej ważnych, zwracam uwagę na jeszcze jedno, obok wymienionych, źródło Reymontowych natychmiast. Za mało znam literaturę o Reymonie, by ryzykować tu uwagę, że, dzwina rzecz, nikt nie dostrzegł tego podobieństwa. Chodzi mi tu o *Placówki*. Zależność Reymonta od Prusa jest zadziwiająca i rzuca się w oczy przy najbardziej powierzchownej lekturze. Wystarczy tu przypomnieć tylko takie charakterystyczne momenty, jak postać Owczarza i wzorowana na niego postać Kuby (scena w karczmie, stosunek do zwierząt, poglądy na hierarchię obowiązującą we wsi). Postać starej Sobieszkiej i Jagustynki, sprzedaż krwi, odprowadzanie jej z chałupy, odwołanie się do autorytetu zmarłej żony w sprawie powtórnego małżeństwa rodowódzkiej wiodą z *Placówki*. O ile jednak te zbieżności można byłoby wyjaśnić, moim zdaniem bez powodzenia, analogia tematu, o tyle pochodzenie sprawy z Niemcami nie może ulegać wątpliwości. Parcele folkwarku między Niemców, późniejszy nie u motywowany ich wyjazd, niejasny stosunek dziecka do sprawy (np. kłopoty, na jakie się naraził, by ich z Podlesia wykurzyć) jest w *Chłopach* nieudolnie niepotrzebny, wprowadzonym nieumiejętnie, niejasnym w bardzo wielu momentach. Działanie wszystkich trzech zainteresowanych stron (dzieciaka, chłopów, Niemców) jest niezrozumiałe i najzupełniej nie motywowane. Co gorsza, walka o ziemię, która w *Placówce* ma charakter jakiejś dostojnej walki o nie uświadomiane wyższe wartości z jednej strony, lub walki o byt z drugiej strony, walki, w której nie jest naruszona godność i ctyka walczących stron, gdzie zwycięzca może zachować dla zwyciężonego szacunek i z jego strony także się tego szacunku spodziewać. — o Reymonta straciła swoją dostojność i piękno, zyskała natomiast dużo momentów brutalnych czy wręcz nieetycznych. Pełna godności i spokoju i swoistej symbolizacji wymowy rozmowa Niemców ze Słimakiem, pytającym z wrotem „A coż wy, panowie, macie za prawo kupować mój grunt?”, o Reymonta staje się ordynarną kłótnią, w której bynajmniej nie zarysowuje się moralne prawo chłopów do pierwokupu ziemi na Podlesiu. Argument „ziemia jest tego, kto jej potrzebuje” nie trafia do przekonania. Zakonczenie zaś, odjazd Niemców ze wsi, szczególnie wzmianka o tajemniczym padaniu krwi niemieczech, nasuwa poważne wątpliwości co do wartości siły i krzepy Lipceaków, która Reymont chciał pokazać.

W ogóle stwierdzić trzeba, że Reymont nie umiał twórczo wyzyskać Prusowego dziedzictwa; każdy prawie element wzięty od Prusa „przeholował”, prezentymentalizował, odebrał mu surową a przekonującą wymowę koncepcji artystycznych autora *Placówki*. Wszystkie momenty *Chłopów*, które ród swój wiodą z *Placówki*, mają wtórny, literacki w znaczeniu ujemnym charakter. Uwagi powyższe rzucam tylko po to, aby uzupełnić szeroko uwzględnione w książce Krzyżanowskiego filiacje literackie. Za ważniejszą natomiast uważam sprawę następną: czy rzeczywiście *Chłopi* należą do tej wysokiej klasy powieści epickich, jak to głosiłoby wszystkie na ogół podreczniki historii literatury i jak to sugeruje doskonała w wielu momentach analiza zawarta w książce Krzyżanowskiego. Nie będę zajmować się tutaj „dokumentarną” wartością tej książki ani jej obecną aktualnością, ponieważ to sprawy w moim czasie dla socjologów i publicystów, w zupełności są objęte dla badacza literatury. Ważna natomiast jest tu sprawa artystycznej wartości utworu.

¹ M. RZĘSKA: *Problemy akcji w „Chłopach” Reymonta*, jeden z rozdziałów studium poświęconego monograficznemu opracowaniu *Chłopów*. Prace ofiarowane Kazimierzowi Wóycickiemu, Wilno 1937.

² JULIAN KRZYŻANOWSKI: *Władysław St. Reymont, twórca i dzieło*, Lwów 1937.

Zamierzenie artystyczne rzeczywiście imponujące: przegląd tytułów poszczególnych tomów wskazuje, że autorowi chodziło o stworzenie eposu zamkniętego w tych czterech ogniwach pełnych symbolizacji wymowy. Zobaczymy, w jakim stopniu zamiar ten udał się Reymontowi. Tom pierwszy stanowi całość kompozycyjnie zamkniętą; akcje obu bohaterów (wydaje mi się, że można mówić o Kubie jako bohaterze, ponieważ postać ta, w ogólnym planie powieści raczej epizodyczna, rozrasta się bardzo i w tomie pierwszym jej dzieje zaczynają stanowić drugi obok historii Borynów samodzielny wątek akcji) dobiegają końca: Boryna mimo wszelkie przeszkody i wahania ożenił się, jak to sobie postanowił, Kuba umarł. Równocześnie jednak, zamykając tom tym ważnym momentem, wprowadza autor możliwości a nawet wskazuje drogi dalszego rozwoju akcji: pogarki krzącej we wsi o Jagnie, przewidywane nieszczęście, jakie mogą wyniknąć z jej małżeństwa z Boryną, oraz fakt że nikt nie chce wymienić Antka jako najniebezpieczniejszego rywali Boryny — nasuwają pewne dość wyraźne sugestie. Z luźnych motywów rozpoczęty został motyw zalotów Szymka do Nastki, który w dalszym ciągu odegra poważniejszą rolę. Tom drugi pod względem kompozycji reprezentuje także zwartą całość: konflikt, dany już w zakończeniu tomu pierwszego, doprowadzony został do punktu kulminacyjnego i rozwiązany. Miłość Antka do Jagny i jego skomplikowany stosunek do ojca jako rywala został zamknięty: przeżył z Jagną unię miłosną, nienawiść do ojca osiągnęła swe największe nasilenie i najspodziewaniej przerodziła się w miłość i poczucie nierozdzielności związku. Co więcej, rozwiązanie konfliktu między Antkiem i Boryną posiada taką wartość i wymowę, że wobec niego nieważna jest sprawa kobiety będącej przyczyną nieszczęścia i sprawa kobiety będącej ofiarą. Konflikt ten bowiem, należący do dziedzin, w których, jak to trafnie określa Krzyżanowski, obracała się obraźnia Sofoklesów i Eurypidesów, doprowadzony został do momentu ostatecznego, w którym już nie było nic do opowiadania. Jeśli się zważy jeszcze, że mimo wszystko, co się zwykło mówi o szerokim obrazie wiejskich obyczajów, stanowią on rdzeń fabularny powieści, jako jedyna możliwość dalszego rozwoju akcji zostają tylko konsekwencje napadu na las oraz stosunki Hanki i Jagny. Te wątki, jakże nikle w zestawieniu z dramatem Borynów, będą stanowiły motyw konstrukcyjny następnych tomów.

Tom trzeci posiada naprawdę mocne zakończenie w obrazie śmierci Boryny, ale pod każdym innym względem jest bardzo słabo konstruowany. To, co dzieje się w świecie Boryny, nie dostarcza już autorowi materiału do wypełnienia całego tomu, dlatego też szerokim strumieniem wkraczają tu sprawy innych mieszkańców wsi, bardzo słabo wiążące się z dotychczasowymi ośrodkami akcji. Są to luźne zupełnie motywy, jak np. dzieje Weroniki, starego Bylicy, pana Jacka, Tereski i t. d.

Tom ostatni jest skomponowany najnieporządnie: jako postaci jednakowo ważne wysuwają się kolejno: Antek, Jagna, Szymek, Tereska, Rocho. Sprawy ich na ogół zupełnie nie wiążą się między sobą; niektóre rozdziały, jak np. X w większej części, a VI w całości, sprawiają wrażenie oddzielnych opowiadań, powiązanych z całością tylko na podstawie przygodnej wzmianki wprowadzonej uprzednio. Sprzedaż folwarku Niemcom zaś i sprawa szkoły robi wrażenie wprowadzonej tylko dla zapelnienia powieści.

Charakterystyczne natomiast jest, że nie została zamknięta sprawa Antka³, jednego z głównych bohaterów powieści, co jest tym dziwniejsze, że motyw jego niepokoju o przyszłość swoją i rodziny był podstawą kilku rozdziałów tego tomu i że z postacią Antka łączył Reymont pogląd swój na psychikę chłopca. Powieść jednak posiada zakończenie artystycznie harmonizujące z początkiem powieści: otwiera ją nastrojowy obraz Agaty odchodzącej ze wsi, zamyka zaś

obraz żelazka żegnającego Lipce w skwarne, letnie południe.

Dwa pierwsze tomy stanowią pod względem kompozycyjnym znakomicie zamkniętą całość, dwa następne sprawiają wrażenie, że Reymont *per fas et nefas* miał ochotę napisać cztery tomy o życiu chłopca. Jako jedyną ogniw łączącą dwa pierwsze tomy z dalszą częścią tetralogii pozostała Jagna, która w dramacie Borynów odegrała rolę „nieświadomego istotnego sensu wydarzeń”, przedmiotu konfliktu między ojcem i synem. Pozostaje bierna nadal, wklajając się w dalsze romanse, jako strona czynna zaś zaczyna występować opinia publiczna wsi. Ale historia Jagny swym dramatycznym napięciem nie dorównywa rdzenowi fabularnemu dwóch poprzednich tomów.

W świetle powyższych rozważań *Chłopi* ukazują się jako powieść zwieńczona w swym zasadniczym myśleniu, rozpadająca się na dwie części zupełnie różne pod względem nastroju, napięcia dramatycznego, udziału elementów dynamicznych i statycznych. Sprawy „gromadzkich”, które mogłyby służyć jednolitości dzieła, są „wydzielane” porcami w miarę tego, jak mogą się przydać w powieści. Nie są one ani zagadnieniem społecznym, ani artystyczną sprawą w konstruowaniu obrazu życia wsi. Stosunek wsi i dworu ujęty został jako szereg epizodów, których zdaje się jedynie napad na las, ale też tylko dzięki temu, że jest ważnym momentem dramatu Borynów. Inne sprawy gromadzkich, wprowadzone np. jako mało ważny temat rozmowy, najniepodobniej wciągają do roli zasadniczego tematu dwóch rozdziałów ostatniego tomu.

Ramy chronologiczne powieści to dokładnie cztery pory roku wymienione w tytułach tomów. Na ogół Reymont nie wykracza poza nie; cofa się do przeszłości swoich bohaterów tylko wtedy, gdy jest to nieuniknione. Z tej niechęci pochodzi mnóstwo „miejsz niedokreślenia”, których czytelnik jednak nie odczuwa jako wady kompozycyjnej powieści, przeciwnie sprawiają one wrażenie świadomego zamierzonego efektu: autor wprowadza czytelnika *in medias res* spraw Lipiec i rodziny Borynów, zadawala się ich pokazaniem, cofa się natomiast przed wyśniewaniem, wskazywaniem ich genezy (np. stosunki małżeńskie Antka). To absolutne, zapamiętałe zajęcie się teraźniejszością swego świata sprawia wrażenie biologicznego sycenia się życiem, przeżywania go i wyzerpania swego stosunku do niego tym biernym, receptywnym elementem.

Kwestia niezmiennej ważną w wypadku powieści tego typu o *Chłopi* było dobranie typu opowiadania: pod tym względem powieść przedstawia niewiarogodny wprost chaos. Spotykamy tu: narratorów jawnych i ukrytych, opowiadanie abstrakcyjne i konkretne we wszelkich postaciach. A więc Reymont bardzo często i chętnie wyszukuje swojej przylwilej autorskiej wszechwładzi, zwłaszcza jeżeli chodzi o przewyżczenie odległości: np. Tereska-żołnierka, zropaczona na wieść o powrocie męża, idzie szukać Mateusza, nie zastaje go jednak w domu, bo poszedł na wieś naprawiać Weronicyną chałupę. W dalszym ciągu autor porzuca Tereskę, nie dowiemy się już, co zrobila potem, a opowiada o tym, co się działo w obejściu Weroniki. Ale to abstrakcyjne opowiadanie zamoczone było czterokrotnie przez specyficzny „autorski” komentarz, czy wręcz zmianę typu opowiadania. Wprowadza bowiem narratora, świadka opisywanych zdarzeń o mało zresztą zindywidualizowanym obliczu⁴, np. „a na ostatek których z drubów, widzi mi się, Tomek Kłachnik, bohciana pokazywał”. Ten narrator-świadek przyświadcza spostrzeżeniem bohatera, często jednakże przekracza on swe kompetencje a i wdaje się w obszerny komentarz autorski. Przynajmniej racje unięsieniom i uczuciom swoich bohaterów lub wypowiedział uwagi ogólne, zabarwienie czestokrotę tandetnym pesymizmem: „Jezu! Na tom cie, krowko, pasła... lamentowała Hanka, tłukąc głową o ścianę, a dzieci też w placzyli wtórnie bili. Ale po próżnicy lamenty a płacz, na darmo, bo musu, człowiecze, nie przepierz, doli nie przemożesz, ni tego, co ma być”.

³ Trudno bowiem zgodzić się na interpretację M. Rzęskiej, która pisze o „niewyraźnych i niepewnych ale możliwych do realizacji w przyszłości perspektywach”. Tym bardziej, że perspektywy te mają dotyczyć Jagny; bo właśnie jej historia jest zakończona: konflikt władzy z jednolitością, jak to słusznie ujmuje Krzyżanowski, zamknięty został zwycięstwem gromady. Natomiast niemożliwe wydaje się znalezienie artystycznego uzasadnienia dla zamknięcia sprawy Antka.

Czasem autor próbuje motywować swój komentarz, traktując go jako wyraz „uczuci bohaterów”. Tak np. dłuższy liryczny fragment wtórny w opis pogrzebu Boryny kończy słowami: „tak ci ano czuł naród, tak medytował i w sobie rozważał...”. Ale obok takiego przytakiwania, przyświadczenia swoim bohaterom, stwarzania dla ich przeżyć lirycznego akompaniamentu, spotykamy najsurowszy obiektywizm opowiadającego, który ogranicza się do dokładnego sprawozdania z zaobserwowanych faktów, wyrzekając się wszelkich wyjaśnień i ocen; przykładem może tu być rozdział VI t. II skomponowany bardzo konsekwentnie. Do chaosu w tej dziedzinie przyczynia się jeszcze fakt, że oprócz narratora, który jest maską autora, wprowadzeni są narratorzy w ścisłym tego słowa znaczeniu, jednak tylko raz jedyny posłużył się tym Reymont celowo i w sposób planowy dla kompozycji, ujmując w opowiadaniu bohatera ważną a nieznany czytelnikowi moment akcji (Jagustynka opowiada powracającej do wsi Agacie o aresztowaniu chłopów lipieckich). Poza tym najczęściej spotykamy opowiadanie o faktach, o których wie czytelnik, a nie wie któryś z bohaterów.

Wreszcie zastanowić się trzeba, jakie stanowisko zajmuje Reymont wobec świata swojej powieści. Jednolite i konsekwentne jest, bardzo zresztą specyficzne, stanowisko estetyczne: wieś i jej mieszkańcy są czymś barwnym i pięknym, czego opisywanie sprawia przyjemność. Piękno tego świata zawarte jest zarówno w jego wartościach wizualnych, malarskich, jak obfitości nastrojów. Wies jednak dla Reymonta obfituje także w wydarzenia ciekawe o sensoryjnym posmaku. I to właśnie nasuwało konieczność zajęcia takiego stanowiska: i w tej dziedzinie zaobserwujemy coś niezwykłego. Reymont bowiem, daleki od przypisywania mu powszechnie obiektywizmu, zajmuje pozytywne, współuczucie, aprobujące stanowisko wobec wszystkich swoich bohaterów. Współuczucie wyrażające się choćby w lirycznym akompaniamentem, współuczucie dla Hanki nie wyklucza bynajmniej również pozytywnego stanowiska wobec Jagny i Antka. Każdy bohater, w chwili gdy go Reymont opisuje, jest dla niego sympatykiem, każdego owija w tę samą atmosferę czułościwego, sentymentalnego współuczucia: „...trzęsła się imo w sobie jako ta drzewina drętwiejąca z zimna, co ani od męki uciecze, ani poratunku uprosi, ni się obronić potrafi — jako ta drzewina skrzytwała Hanczyńska dusza”. O Jagnie zaś, winowajczyni Hanczyńskiej boleści, cierpiacej z powodu zdradzieńskich męża, pisze: „wlekleo się tak blisko całą niedzielę, że już w chałupie wytrzymało by trudno, miałab przeciw dusze czującą — jako ten kwiat niekiedy, co, niech jeno ziąb nań chuchnie, a wnet się owarzy i rozdygocze z boleścią”. Tego typu „wmięszanie” się autora w przeżycia bohaterów wytwarza wrażenie bezładu, narzuca sugestie, że autor, opowiadający to wszystko tylko dla sensoryczności wydarzeń, daje się bezkrytycznie ponieść materiałowi. Nieutrzymanie epickiego dystansu pociągało za sobą konieczność zajęcia sprzecywanego autorskiego stanowiska, tymczasem zaś Reymont nie dojrzał w swej lipieckiej historii zjawiska ani społecznego, ani etycznego ani filozoficznego. Istniały dla niego tylko ciekawe wydarzenia, sensacyjna historia „nowoczesnej jawogrzeczny” wyswiewanej ze wsi, historia, która mogła stać się fabularną kanwą powieści. I ten brak autorskiej postawy wobec stwarzanej, a co ważniejsze, przeżywanej wspólnie z bohaterami rzeczywistości wytwarza puszkę i częstoch powieści, powoduje jakiś organiczny jej brak czy „niedoowiedzenie” i mimo pewnego, chyba niezbyt wysokiego poziomu techniki pisarskiej, posługujące się tradycyjnymi, utartymi chwytami, a przede wszystkim bardzo nierównie i niekonsekwentnie, nie pozwala jej kwalifikować, jak to dotąd czyniono, jako jednego z szczytów osiągniętych w rozwoju polskiej powieści.

Scharakteryzowałam wyżej dwa elementy artystycznej struktury *Chłopów* — fabulę i narrację — mam wrażenie, że taki sam negatywny wynik musiałoby przynieść dokładne zbadanie języka i stylu powieści.

JANINA KULCZYCKA-SALONI

PION

należy abonować lub nabywać w kioskach i żądać go w czytelnianach, cukierniach i restauracjach

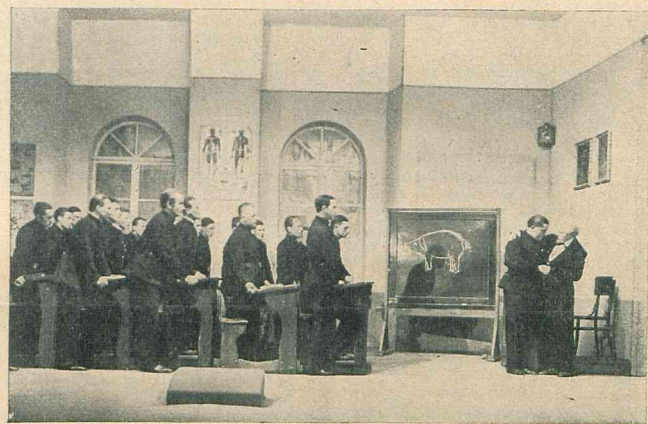
MARIAN PIECHAL

ŁÓDZKI ROK TEATRALNY

Jeszcze przed rokiem nikt by może nie dal wiary, że w Łodzi jest aż siedem teatrów. Co prawda, z tego tylko trzy stałe, a reszta sezonowe (czynne jesienią i zimą w określone dni tygodnia), ale i to jak na Łódź, w której dotychczas borykał się z trudnościami jeden teatr stały, zjawisko niezwykle. Tej zdumiewającej metamorfozy w łódzkich stosunkach teatralnych dokonała w błyskawicznym wprost tempie instytucja pod nazwą „Łódzkie Teatry Miejskie”, powstała z inicjatywy Zarządu Miejskiego, który uważając słusznie istnieją-

Zjednoczonych Zakładów Scheiblera i Grohmana i Teatru Letniego w parku Stazica, przy czym operowano czterema autonomicznymi zespołami aktorskimi. W ciągu pierwszych ośmiu miesięcy sezonu (do 1 kwietnia 1938 roku) „Łódzkie Teatry Miejskie” dały 896 przedstawień, gromadząc ponad 272 tysiące widzów. Liczba ta do 1 lipca r. b. wzrosła do 324.786 osób. Jest to cyfra dotychczas w kronikach łódzkich nie notowana. Niezależnie od tych sukcesów lokalnych zespół aktorski „Łódzkich Teatrów Miejskich” odbył w czerwcu i lipcu r. b. objazd po ziemiach Rzeczypospolitej ze sztuką Zygmunta Nowakowskiego *Galazka rozmarynu*.

Ilość scen, ich racjonalne rozmieszczenie na terenie miasta, ilość przedstawień i ich poziom artystyczny sprawiły, że do teatru wciągnięte zostały olbrzymie rzesze nowych widzów i że teatry łódzkie dokonały niezwykle dnośnej pracy pionierskiej kulturalno - oświatowej. Nic dziwnego, że ogólna liczba widzów, jacy przesunęli się w tym sezonie przez widownię Łódzkich Teatrów Miejskich, jest liczbą w dotychczasowej historii teatru łódzkiego wyjątkowa. Objęte zostały zasięgiem wpływów teatralnych peryferia miejskie, dając teatrom niezwykle licznego i wdzięcznego ze względu na świeżość wrażliwości widza przede wszystkim spośród sfer robotniczych. Dalsze nabytki, to nawiązanie ścisłego kontaktu



„MŁODY LAS” J. A. HERTZA

godnych warunkach, wykupując specjalne abonamenty związkowe, zrzeczeniowe i szkolne.

Zdobycie tak licznego i zróżnicowanego w swoich wymaganiach widza zmusiło kierownictwo Łódzkich Teatrów Miejskich do intensywności i zdwojenia pracy, której rezultat wyraża się imponującą całą 46 wystawionych sztuk. Są to: *Wieczór Trzech Króli* Szekspira, *Teoria Einsteina* Cwojdzńskiego, *Jadzia-Wdowa* R. Ruskowskiego i J. Tuwima, *Szklanka wody* E. Scribe'a, *Ten stary uariat* S. Kiedrzyńskiego, *Świerszcz za koniną* K. Dickensa, *Młody las* J. A. Hertza, *Galazek* D. Nicodemiego, *Moja siostra i ja* Verneula i Benatzkiego, *Ciotka Karola* T. Brandona, *Raz się tylko żyje* S. Kiedrzyńskiego, *Jutro pogoda* Hoopwoda, *Pygmalion* B. Shawa, *Kundel* A. Malina, *Wierna kochanka* M. Fijałkowskiego, *Noc Listopada* St. Wyspiańskiego, *Wielki człowiek do małych interesów* Al. Fredry, *Niespodzianka* K. H. Rostworowskiego, *Rozkosza dziewczynka* B. Benatzkiego, *Tessa Giraudoux*, *Kobieta bez skóry* G. Zapolskiej, *Powrót mamy* M. Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, *Galazka rozmarynu* Z. Nowakowskiego, *Moralność pani Dulskiej* G. Zapolskiej, *Kolysanka* W. Fodora, *Glupi Jakub* T. Rittnera, *Papa Caillaveta* i Flersa, *Dr. Berghof* S. Pollatschka i C. Marka, *Szczęście Frania* W. Perzyńskiego, *Mecz małżeński* W. Lichtenberga, *Azais Verneula*, *Figle Skapena* Moliere, *Spadkobierca* Grzymały - Siedleckiego, *Oj, mężczyźni, mężczyźni* K. Zaleskiego, *Nieboska Komedja* Z. Krasieńskiego, *Kres wdrówki* Sherriffa, *Królowa Przedmieścia* K. Krumłowskiego i L. Schillera, *Interes z Ameryki* Franka i Hirsfelda, *Revisor* M. Gogola, *Gwałtu, co się dzieje* Al. Fredry, *Fanny*

Pagnola, *Małe szczęście* Agnieszki Shutetzky'ego, *Kobieta i szmaragd* Jenkinsa, *Szóstka* piętro Gehri, *Dama od Malysy* G. Feydeau i *Brat marnotrawny* Oskara Wilde'a.

W tym obfitym dorobku na szczególną uwagę zasługują następujące sztuki: *Noc Listopadowa* Wyspiańskiego, po raz pierwszy w całości wystawiona w Łodzi, następnie *Nieboska Komedja* Krasieńskiego, wystawiona na jubileusz reżyserski przez Leona Schillera, i *Galazka rozmarynu* Nowakowskiego rekordowa pod względem frekwencji i ilości przedstawień, bo grana 60 razy w Łodzi i drugie tyle w objazdach.

Warto zwrócić uwagę, że połowa z wymienionych powyżej sztuk to sztuki autorów polskich. Szkoła tylko, że dyrekcja teatrów łódzkich nie zdobyła się na przedstawienie publiczności łódzkiej ani jednego debiutu dramatycznego. Strach przed młodym, początkującym autorem polskim przy tak zapewnionej widowni i opiece ze strony Zarządu Miejskiego nie jest uzasadniony, budzi raczej refleksje niesympatyczne. Pełne kasy i powodzenie obowiązuje również do danią na rzecz ryzyka, na rzecz inicjatywy, pobudzania i ośmielenia nowych sił autorskich.

W końcu trzeba wymienić tych spośród aktorów, którzy waleń przyznali się do tegorocznego nadzwyczajnego sukcesu teatrów łódzkich: Marię Dąbrowską, Zule Dwińska, Jadwigę Chojnącką, Janinę Biesiadeczką, Adę Zasadziankę, Ninę Wilińską, Zygmunta Biesiadeczkę, Kazimierza Korwiną, Józefa Winawera, Jana Mrozińskiego, Janusza Snaya i Waława Modrzeńskiego; z reżyserów: Bronisława Dąbrowskiego i Władysława Krasnowieckiego; zaś z dekoratorów: Otto Axera i Tadeusza Kalinowskiego.

MARIAN PIECHAL

„TEORIA EINSTEINA”
CWOJZIŃSKIEGO

cy dotychczas stan rzeczy w dziedzinie teatru za fatalny, skoncetrował wszystkie, dotąd nieskoordynowane wysiłki poszczególnych zespołów teatralnych w ramach jednej organizacji (pod kierownictwem dyr. Kazimierza Wroczyńskiego i dyr. Hugona Morycińskiego). Najbliższym celem tej koordynacji wysiłków miało być wciągnięcie do teatru najszerzych rzesz robotniczych, inteligencji biurowej i młodzieży szkolnej.

Uplwający właśnie sezon teatralny 1937/38 miał być generalną próbą i sprawdzianem podjętych zamierzeń. Wypadł nad spodziewanie dobrze. Akcja powiodła się znakomicie, przeszła wszelkie przewidywania. Instytucja „Łódzkie Teatry Miejskie” przy wydajnej pomocy Magistratu, a zwłaszcza przy gorącym poparciu wiceprezydenta Paczka, dysponowała w bieżącym sezonie, jak już wspominałem, siedmioma scenami: Teatru Polskiego, Teatru Kameralnego, Teatru Popularnego, Teatru w sali Ceyera, Teatru na Widzewie, Teatru w sali



„SZKLANKA WODY” SCRIBE'A

z związkami i organizacjami społecznymi, a następnie uzgodniona współpraca ze szkołami średnimi i powszechnymi. Zarówno rzesze robotników, jak urzędników i młodzieży szkolnej chodzą do teatrów na b. do-

GIUSEPPE UNGARETTI

POTĘPIENIE

Zamknięty jestem wśród rzeczy śmiertelnych

I niebo gwiazdziste się skończy

Dlatego pożadam Boga

RANEK

Rozświećta mnie
ogromność

CISZA

Znam miasto jedno
które każdego dnia napelnia się słońcem
i wszystko staje się pełne uniesienia
w tym momencie

Opuciłem je pewnego wieczora

W sercu dlugo jeszcze tkwiło
strzyżenie świerszczyZ okretu
polakierowanego
na bialo
widziałem
jak zniklo moje miasto
stawszy się
na chwile
narcęzom światel w powietrzu mętnym
zawieszonych

Przełożył KAZIMIERZ SOWIŃSKI

Z ZAGRANICY

Wyszła z druku 69-stronicowa czeska antologia wierszy o zwierzętach — *Piseň o zvířetí*. Zestawił ją O. F. Babler, przekładów z poezji świata dokonał O. F. Babler, Karol Čapek, Piotr Kříčka, Svata Kaldlec, Jaroslav Skalický i i. Reprezentowani są w tej antologii m. inn. Blake, Baudelaire, Jacob, Rilke, Jesienin, Jammes, Vrchlicky, Briusow, D. H. Lawrence.

Umarł poeta niemiecki Rudolf G. Binding.

Armand Zamboni wydał książkę o Pascolim: *Giovanni Pascoli*. Zamboni rozpatruje twórczość Pascolego jako przejaw typowy literatury włoskiej na przełomie stuleci.

Państwowe muzeum literatury w Moskwie zajęło się zebraniem w tomy i wydaniem „sztuki stosowanej” Majakowskiego: ulotnych wierszyków, reklam, marszów, plakatów, karykatur, fotomontaży. Ta uboczną spuścizna poety obejmuje 20 albumów. Ukazał się już album pierwszy.

Zmarł David Edstrom, znany rzeźbiarz szwedzki, od wielu lat zamieszkały w Ameryce, gdzie też znajduje się wiele jego dzieł. Największą kolekcją prac rzeźbiarza znalazła pomieszczenie w specjalnym muzeum — „The Edstrom Building”.

Nowa biografia Schuberta ukazała się w Holandii. Autorem jej jest Bernet Kempers. Tytuł lapidarny: *Schubert*.

Marianna Klar wydała zbiór nowogreckich pieśni ludowych w wolnym, rytmizowaną prozą dokonany przekładzie niemieckim — „*Kleptenkrieg*. Neugriechische Volkslieder”.

Powstaje obecnie w Paryżu teatr niemiecki. Będą w nim gary niemieccy aktorzy-emigranci: Albert Basserman, Elza Basserman, Tilla Durieux, Maria Flin, Ernest Deutsch i inni.

W Paryżu oglądać można obecnie w jednym z większych salonów plastyki wystawę rzeźb murzyńskich. Nie pierwszy to i nie ostatni na pewno pokaz tej tak sugestywnej sztuki, której wpływ odegrał pewną rolę w rozwoju nowoczesnej plastyki europejskiej.

D. Gascogne'a *Hölderlin's Madness* to próba skonfrontowania Hölderlina z nowoczesnością, ściślej: z nowoczesną treścią intelektualną angielską. Autor, pisarz pokolenia najmłodszego, wnika w tragiczny los Hölderlina, w splot spraw krzyżujących się w jego tługetrwałym obłędzie, mówi o silnym i trwałym wrażeniu, jakie na nim i na jego rówieśnych wywarły *Hymny* Hölderlina.

Sprawa zwłok króla Stanisława Augusta, przewiezionych w tajemnicy do Wolczyna, wywołała wielkie poruszenie. Kilka pism jak *Ilustrowany Kurier Codzienny*, *Wiadomości Literackie*, *Kronika* ogłosiły w tej sprawie ankietę. Cat w *Słowie* z dn. 17 sierpnia pisze w związku z tym: „I cóż się okazało? Znakomita, przeważająca większość wypowiedzi są za Wawelem. Nie można podejrzewać wypowiedziających się w taki sposób o jakiś cel uboczny, np. o dokułeczenie rządowi. Nawet p. Goetel, były leiter prasowy Ożonu, wypowiedział się na lamach organu rządowego *Gazety Polskiej* za Wawelem, a ten ostatni organ potępił w artykule redakcyjnym sposób pochowania trumny królewskiej w Wolczynie.

Wyciągnąć można z tego pocieszające wnioski. Jesteśmy świadkami rzetelnego patriotyzmu i przywiązania do polskiej tradycji, do godności państwa polskiego. Ludzi łączy z nieszczytnym Królem poczucie, że był naszym Królem. Ludzie upominają się o szacunek dla państwa polskiego, wtedy gdy został bezprykladnym postępowaniem z Wolczynem narażony na szwank.

W wakacyjnym zeszycie (VII—VIII) miesięcznika *Prąd*, organu katolickiej inteligencji w Lublinie, ukazał się zamiennym artykuł sygnowany literami S. A. pt. *Planowa organizacja kultury*. Artykuł ten przynosi obszerną, rzeczową i nieraz bardzo drobiazgową polemikę z głośnymi wystąpieniami Jerzego Hulewicza i Jerzego Zagórskiego w sprawie organizacji kultury, na wiosnę w *Kurjerze Porannym*. Autor z *Prądu* krytykuje pomysły organizacyjne Hulewicza i Zagórskiego ze stanowiska personalizmu katolickiego; stwierdza, że „wpływ kulturalny wywiera się nie dzięki „planowej organizacji kultury”, lecz dzięki „wybitnym jednostkom twórczym”. „Trzeba się zdecydować, czy chodzi o podniesienie i rozwój kultury, czy o stworzenie totalnej masy dla celów politycznych”. „Państwo z natury nie jest zdolne do organizowania kultury. Może ono tylko stworzyć dla niej sprzyjające warunki. Ale kultura jest dziełem swobodnej pracy społeczeństwa”. „Żeby Polskę ochronić od komunizmu i hitlerizmu, należy zostawić swobodę działania tym, którzy kulturę polską tworzą t. j. twórczym siłom narodowym. Rząd, będący ich wyrazem, ma dosyć własnych środków, aby tę narodową kulturę poprzec i chronić”.

Ognisty wywód polemiczny p. S. A. kończy się takimi słowami: „Niech panowie uwierzą, pisze p. Roźniatowski (nr. 160), że organizacja kultury w najmniejszej mierze nie ograniczy wolności sumienia i wypowiedzi”. Niech sobie p. Roźniatowski wierzy, my wolimy wiedzieć to, co się dzieje w Niemczech i Sowietach, a nawet w Włoszech. Wolimy patrzeć na rzeczywistość niż wierzyć. P. Roźniatowski wierzy również, że wódzostwo przyjdzie samo. „Organizować w ścisłym tego słowa znaczeniu będą i tak specjalnie wyznaczeni urzędnicy” (nr. 160). Niech wierzy. Nam wolno przewidywać, że stary, kulturalny naród polski pokocha kulturalnikom swe szpony i pazury...

Nowy zeszyt *Marcholta*, za lipiec b. r., nasuwa pewne refleksje ogólniejsze. Jeszcze niedawno każdy numer pisma Kolańczakowi był wydarzeniem, wywoływał echa, entuzjazmy, oburzenia, — dziś nic z tego nie zostało. *Marcholt* dzwinnie szybko wyjął. Dlaczego tak się stało? Zależy się, że jedną z przyczyn jest abstrakcyjność tego kwartalnika, oderwanie od rzeczywistości kulturalnej. *Marcholt* chciał być szermierzem idei wielkich i ogólnych, pragnął służyć wizji przyszłej kultury polskiej, i z lekceważeniem i lekką pogardą odnosił się do wysiłków różnych grup i jednostek, zamykających się w granicach swych specjalności. To lekceważenie zemicilo się, spowodowało odcięcie od konkretów; postulowano ogólnieść przetrwała się w nie pożądaną ogólnikowość, i co za tym idzie pismo utraciło kontakt z ziemią. Stąd w dalszej konsekwencji wywołanie.

W nowym numerze dwie pozycje są szczególnie charakterystyczne. Pierwsza to rozprawa *Z tajemnic odrodzenia narodowego*. Głosi ona, że Polska winna zesławianić. Teza, być może, cenna i żywota, ale w rozwinięciu „marcholotowym” wybitnie abstrakcyjna i tracąca papierem. Autor rozwija swe teorie bujając swobodnie w próżni; z żadnymi faktami się nie liczy, żadnych nie uwzględnia, oprócz... rozpraw Paulsen'a o Scho-

penhauerze i powieści Iwaszkiewicza *Czerwone tarcze*. W przeglądach znajdujemy charakterystykę Zygmunta Wasilewskiego, zwałoby się pisarza jak niewiele innych ośzadzonego w faktach konkretnych, redaktora, działacza i polityka; otóż charakterystyka ta tonie w głębinowym duszonoświe, tworzy sztuczne konstrukcje intelektualne, nie dbając ani trochę o „ordynarne”, prozaiczne fakty.

Zwywy akcent w numerze stanowi dokończenie pracy Konińskiego, dotyczącej zagadnień religijnych. Autor zastanawia się nad rolą i możliwościami katolicyzmu we współczesnym świecie; w rozmyślaniach tych napotykaamy akcenty o zdumiewającej, głębokiej i odważnej szczerości. Oto przykład:

„Nie politykowanie z imperializmem; ale wielkie i bardzo proste, po prostu ludzkie sprawy, bezkompromisowa obrona poniewierzenia i upodłogno człowieka, walka nieulekła o charakter, wielkoduszna sprawiedliwość społeczna, miłosierdzie przenikliwie, oto co jest Wielką Polityką religijną która pociągnie świat z powrotem w pobliże Krzyża, pod jego ramiona; z tego ducha, powiedzmy to słowo, z ducha Chrystusowego, będą rozdzielili się tacy, którzy nie spłamią się obkadzaniem ziemskich tyranów, którzy się nie zalamią w spazmatycznym strachu przed nimi i ich oprawcami — obroncy, wyznawcy, Świadkowie, lub tylko, ni mniej ni więcej, ludzie z charakterem, śmiertelnie wytrwali”.

Numer wakacyjny *Okolicy poetów* ukazał się w powiększonej objętości siedmiu i pół arkusza druku i poświęcony został poezji lotewskiej. Krótki wstęp napisał dr Ludwik Berzus, profesor Uniwersytetu w Rydze; notę o literaturze lotewskiej, informacje bio- i bibliograficzne i objaśnienia podał dr Stanisław Kolbuszewski, obecny „ambasador” literatury polskiej na uniwersytecie ryskim. Wzwyżkie wiersze przełożył redaktor *Okolicy*, Stanisław Czernik. Poważny ten wysiłek zasługuje na uznanie. Wiersze lotewskich poetów zaprezentowane w *Okolicy* są to przeważnie nastrojowe liryki i obrazki, często pełne wdzięku. Oto na przykład wierszyk jednego z czołowych przedstawicieli lotewskiej poezji, Rainisa:

Nie nie brzmi jak słowika głos
Pod noc.
Najmilsze także szczęścia los
Pod noc.

W tęsknoty czas samotnie idę
Pod noc.
I niech nikt o tym nie wie nic,
Lecz noc.

ładny obrazek o Rainisie i jego żonie Aspazji, również znanej i wybitnej poetce, znajduje się w książce Marii Dąbrowskiej *U północnych sąsiadów*.

W Czeskim Cieszynie ukazują się pod redakcją poety gwarowego Pawła Kubisa polski miesięcznik społeczno-literacki p. n. *Sztorcem*. W drugim numerze (z datą 15 sierpnia) zwraca uwagę artykuł redaktora o znaczeniu gwary cieszyńskiej dla polskiej literatury. „Czy to jest „czysta” twórczość gwarowa, czy też jest to twórczość, gdzie gwara ulega zmodyfikowaniu i wypaczeniu przez autora, literacka krytyka polska posiada zawsze jedno określenie: regionalizm. Istnieje tutaj jednak bardzo wielkie nieporozumienie. Jedynie taka twórczość gwarowa, gdzie autor nie znieszkalał gwary i nie stylizuje jej i zachowuje zarazem jej cechy fonetyczne (pisownia), może predestynować do miana śląskiej twórczości regionalistycznej. Wszelka zaś inna twórczość z domieszką gwarowości lub też z pozabawieniem jej cech fonetycznych — będzie zawsze nieczym innym tylko pseudoregionalizmem! Ponieważ zaś gwara cieszyńska jest gwara pierwowzorowo prapolską, z wszystkich innych gwar śląskich trzeba uważać ją za najbardziej narodową. Literacka twórczość w niewypaczonej i nie wykształnionej gwarze cieszyńskiej nie dosyć że wprowadza z powrotem do słownictwa współczesnego języka polskiego pewne staropolskie wyrazy, ale wzbogaca także ten sam język polski przez wyrazy typowo śląskie, jakie z biegiem czasu samorodnie wytworzyły się w gwarze śląskiej”. Ten utylitastyczny wywód popiera wydrukowany w bezpośrednim sąsiedztwie wiersz Józefa Ondrusza (zapewne górnik) *Zgaszone lampy*, pełen prymitywnej, brutalnej i sugestywnej ekspresji.

UCZONY AMERYKAŃSKI W POLSCE

Przed paroma dniami przyjechał do Gdyni wybitny uczyony amerykański A. P. Coleman, profesor sławistyki na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, bardzo szalony w dziedzinie popularyzowania literatury polskiej na gruncie amerykańskim, drogą doskonałych przekładów (np. *Marii Malczewskiej*) oraz licznych artykułów zarówno w czasopiśmie specjalnych jak i w prasie codziennej.

Prof. Coleman przybył do Polski w celu zaznajomienia się z najnowszą literaturą polską oraz nawiązania osobistego kontaktu z wybitnymi pisarzami. Pod koniec sierpnia uda się prof. Coleman do Zurchu, by wziąć udział w Międzynarodowym Kongresie Historyków, na którym ma wygłosić referat pt. „Ogłosy powstania styczniowego w prasie amerykańskiej”, — interesując go bowiem — poza literaturą polską — także Polonica amerykańskie, a w szczególności echa powstania styczniowego w opinii amerykańskiej. Na zaproszenie Instytutu Bałtyckiego w Gdyni odbędzie prof. Coleman w przyszłym roku tournée odczytowe po Polsce.

WYDANIE ZBIOROWE PISM
ADAMA ASNYKA

W związku z przypadającą w dniu 11 września r. b. setną rocznicą urodzin poety „Komitet Uczczenia Adama Asnyka” przygotowuje zbiorowe wydanie jego dzieł. Wy-

OGRÓD - KAWIARNIA K. DAKOWSKIEGO w Bagateli

jest najmilszym miejscem spotkań elity towarzyskiej stolicy
KONCERT dwa razy dziennie - DANCING - COCKTAIL BAR - WYSTĘPY ARTYSTÓW

KSIĄŻKI NADESŁANE

STANISŁAW K. TRAWKOWSKI: *Młodość niespokojna* — poezje. „Mała Biblioteka Kameny”, Chelm Lubelski 1933.

ALEXANDER HERTZ: *Sociologia współczesna*. Wydawnictwo „Wiedzy i Życia”, Warszawa 1933.

„Kultura polska i obca” — kolekcja Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych, pod redakcją Kazimierza Hartleba. Tom I. LUCJA CHAREWICZOWA: *Kobieta w dawnej Polsce*. Lwów 1933. — Tom II. STANISŁAW ŁEMPIK: *Opiekunowie kultury*. Lwów 1933. — Tom III. JÓZEF SKOCZEK: *Stosunki kulturalne Polski z Zachodem w XI w.* Lwów 1933. — Tom IV. BRONISŁAW NADOLSKI: *Kierunki rozwojowe dziejopisarstwa staropolskiego*. Lwów 1933. — Tom V. ANTONI KNOT: *Dzieje szkolnictwa wojskowego*. Lwów 1933.

ARTUR ŚLIWIŃSKI: *Konstytucja Trzeciego Maja*. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Lwów 1933.

ELŻBIETA SZEPLIŃSKA-SOBOLEWSKA: *Potrójny ślad*. Powieść. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

JAMES MORIER: *Przygody Chadzi-Baby*. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

GEORGES DUHAMEL: *Widok Ziemi Obiecanej*. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

ANNA RADWAN-BABSKA: *Mroki*. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

WACŁAW MAKOWSKI: *My i ty*. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

Starościński sklep. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

LUCJAN ROSCISZEWSKI: *Sakramentem siódmiu małżeństw*. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

ULAS SAMCZUK: *Wolyn*. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

HENRYK MANN: *Król Henryk IV na wygnanych ślacy*. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

ROGER MARTIN DU GARD: *Dzień przyjęcia D-ra Thibault. La Sorellina. „Rodziny Thibault”* tom IV. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

JAN BRZOZA: *Budowalci gmach*. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

W. K. ARSENIW: *Dorsu Użala*. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

EDWARD ESTAJUNE: *Głos zła świata*. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

GEORGES SIMENON: *Florena*. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

W. MYKOŁAJCZYK: *W cieniu Ołtarzy*. I. Dni próby. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

GUNNAR GUNNARSON: *Okręty na niebie* — powieść. Inst. Wyd. Renaissance. Warszawa 1933.

GUNNAR GUNNARSON: *Życie minęło już* — powieść. Inst. Wyd. Renaissance. Warszawa 1933.

danie to zawierać będzie poezje, utwory dramatyczne, nowele, prace krytyczno-literackie, recenzje teatralne i prozę publicystyczną. Całość wraz ze studium prof. Ignacego Chrzanowskiego jako przedmowa, szeregiem ilustracji oraz komentarzem naukowym w opracowaniu wybitnych specjalistów obejmie 5 tomów.

List do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

W nrze 18 *Polityki* z dnia 10 sierpnia r. b. w artykule p. t. „Apteka pod Schulzem” p. Łaszowski pisze: „Truchanowski, podówczas autor *Ulicy Wszystkich Świętych*, stwierdził oczywiście, że nie zna książki swego patrona, że słyszał ale nie czytał”, dalej zaś: „I wierzę mu że nie czytał Schulza”, — dopuścił się świadomego przekroczenia prawdy, w artykule bowiem „Czy naśladowstwo?”, drukowanym w miesięczniku *Studio* nr. 5—6 z r. 1936 stwierdziłem: „W trakcie pisania *Ulicy Wszystkich Świętych* (miałem już większą część), a było to na początku lata 1935 r., przeczytałem *Słupy cynamony...*” A więc okazuje się, że czytałem i że nigdy z tego nie robiłem tajemnicy! Jakże wobec tego wygląda to, co napisał p. Łaszowski, i jakie to ma znaczenie?

Niewątpliwie p. Łaszowski zdawał sobie sprawę, jakie by to miało znaczenie, o to mu najbardziej chodziło i dlatego sprawę celowo przedstawił fałszywie.

Siedlce 21.8. 1933.

KAZIMIERZ TRUCHANOWSKI

JANUSZ MEISSNER: *Skrydła nad Arktykiem*. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój”.

HOFMOKL-OSTROWSKI: *Mój testament*. Inst. Wyd. Renaissance. Warszawa 1933.

KAROL RÖMMELE: *Zaprawa i jada wyciąg*. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy. Warszawa 1933.

HANS FALLADA: *Zabłąkani w nocy* — powieść. Inst. Wyd. „Plan”, Warszawa 1933.

HANS FALLADA: *Wilki wśród wilków* — powieść. Inst. Wyd. „Plan”, Warszawa 1933.

Cykl „Przemiany”. WOLFGANG JÜNGER: *Walka o kaukaz*. Książnica-Atlas, Warszawa — Lwów 1933.

LEON CROZET: *Praktyczny podręcznik bibliotekarstwa*. Książnica-Atlas, Warszawa — Lwów 1933.

L. H. MORSTIN: *„Antygonia” Sofoklesa*. Kraków 1933. Gebethner i Wolff.

JAN SMREK: *Wybór poezji*. Przełożył K. A. Jaworski. „Mała Biblioteka Kameny”, Chelm Lubelski 1933.

ALFRED KOWALKOWSKI: *Dal widziama* — poezje. Rada Artystyczno-Kulturalna w Bydgoszczy 1933.

KAZIMIERZ PIWARSKI: *Dzieje polityczne Prus Wschodnich (1621—1772)*. Instytut Bałtycki, Gdynia 1933.

ANDRZEJ STRUG: *Milardy* — powieść, tom II. Warszawa 1933. Gebethner i Wolff.

CZESŁAW GARDA: *Konfrontacja*. Łódź 1933.

Dr JANINA GARBACZOWSKA: *Zagadnienie państwowości polskiej w beletryście współczesnej*. Lwów 1933. Księgarnia R. Schweitza.

L. PASYNKOW: *Zemsta Taipy* — powieść. Wyd. „Europa”, Warszawa 1933.

Szkolne chroniska wycieczek XII, 1933. Warszawa 1933. Ministerstwo W. R. i O. P.

MARIAN PALUSZKIEWICZ: *Katedra Poznańska i jej zabytki*. Poznań 1933.

ŚWIATŁOPEŁK KARPINSKI: *Sciana śmiechu*. Warszawa 1933. Gebethner i Wolff.

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego, Katowice 1933. ADAM BAR: *Karol Miarka* — studium z dziejów Górnego Śląska. — ZDZIŚLAW WYŻNIKIEWICZ: *Ustawodawstwo śląskie o ubezpieczeniu społecznym*. — KAZIMIERZ PIWARSKI: *Pomyśli odzyskania Śląska za Jana III Sobieskiego*. — JÓZEF SKOCZEK: *Udział Śląska w rozwoju i kulturze południowo-wschodnich ziem Polski*. — STANISŁAW SZCZOTKA: *Stosunki Żywiecyszczyzny ze Śląskiem od XI-go w. do upadku Rzeczypospolitej*. — KAZIMIERZ NOWAKOWSKI: *Zaopatrzenie w wodę górnośląskiego okręgu przemysłowego*. — ALFRED JEŚKOWSKI: *Plebiscyt i powstania śląskie w polskiej literaturze pięknej*. — ROMAN GRODECKI: *Rozstanie się Śląska z Polską w XIX wieku*.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18.50 zł. za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości i 1 spłaty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 15.970.

ZA REDAKCJĘ: Roman Koloniecki

ZA WYDAWCĘ: Kazimierz Sowiński